

Koniec „wielkiej iluzji”

14 lipca 2024

Dla pamiętających czasy schyłku ZSRR, „breżniewizm” kojarzył się jednoznacznie z utratą sterowności największego lądowego imperium.



Politycy powinni nosić loga korporacji, które za nimi stoją.

Nikt nie miał wątpliwości, że demencja starców rządzących kolejno na Kremlu – Leonida Breżniewa, Jurija Andropowa, Konstantina Czernienki – była jednym z ważnych czynników, przesądzających o degeneracji państwa radzieckiego.

Zjawisko to wprost nazywano gerontokracją. Regres i uwiąd polityczny przywództwa pociągał za sobą błędne decyzje lub ich brak, a w oczach opinii światowej pogorszenie wizerunku i degradację statusu mocarstwa. Jak nazwać analogiczne zjawisko, które dotknęło inne największe mocarstwo, od kilku przynajmniej dekad przypisujące sobie rolę wyjątkową i sprawczą w stosunkach międzynarodowych? Być może „kultura strategiczna” Zachodu, oparta na kamuflażu i hipokryzji, zabrania nazywać je „bajdenizmem”, ale nie da się przecież uciec od obiektywnego faktu utraty sprawności intelektualnej i fizycznej stojącego na czele administracji amerykańskiej zniedołężniałego gerontokraty.

Do czasu pierwszej debaty telewizyjnej Biden-Trump każde stwierdzenie o „zapadaniu się” lidera Zachodu w niemoc traktowano jako niewybredne i złośliwe ataki, inspirowane przez wrogów, na czele z Putinem. Nagle sami członkowie obozu demokratów doznali olśnienia. Otrzeźwieni fatalnym odbiorem swojego kandydata dokonują raptownych przewartościowań, widząc po sondażach gwałtowny odpływ elektoratu w stronę przeciwnika. Katastrofa na horyzoncie przybiera coraz wyraźniejsze kształty.

Rodzi się przede wszystkim pytanie, dlaczego Ameryka doszła do takiej niefortunnej skrajności, że spośród wielu kandydatów na stanowiska kierownicze, sprawdzonych pod względem kompetencji w urzędach federalnych i stanowych, spełniających także warunki wiekowe i sprawnościowe, nie jest w stanie wyłonić liderów na miarę potrzeb swojego przywództwa, a zatem i spoiwa całego Zachodu? Skąd po obu stronach podziałów politycznych tak mocne uzależnienie od postaci, dawno już politycznie spełnionych, bez szans na wykreowanie czegokolwiek, poza sianiem zamętu i psuciem wizerunku?

Pierwsza odpowiedź wynika z obserwowanych od dłuższego czasu procesów koncentracji władzy w ręku coraz bardziej zamkniętej grupy, zwanej oligarchią. Oparcie rekrutacji elit rządzących na hermetycznych związkach i powiązaniach plutokratycznych doprowadziło do całkowitej degeneracji mechanizmów demokratycznych. Prości ludzie ciągle ulegają złudzeniom i mitom o możliwościach awansu, otwartych dla każdego obywatela Ameryki. Tymczasem państwo to od swoich początków w XVIII wieku ma charakter skrajnie antydemokratyczny. Potwierdzają to dzieje niewolnictwa, segregacji rasowej i rasizmu, a także jedne z największych na świecie dysproporcje w podziale bogactwa społecznego.

Druga odpowiedź zawiera się w stwierdzeniu, że liderzy polityczni są tak naprawdę jedynie pionkami na szachownicy, modelowanej z ukrycia przez oligarchiczne kręgi władzy, skoncentrowanej w ręku wielkiej finansjery, biznesu, wojska i

służb specjalnych. Jest im wygodnie dominować nad państwem, gdy na czele wszystkich urzędów stoi ktoś pozbawiony inicjatywy i zewnątrzsterowny. Zjawisko to nosi miano „ukrytego państwa” (deep state), co w samej Ameryce stało się przedmiotem wielu analiz politologicznych. W Polsce ciągle jest to temat tabu, podobnie jak uprawianie lobbingu politycznego przez różne siły, niepodlegające publicznej kontroli.

Politycy na smyczy

Kreowanie przywódców politycznych w największym mocarstwie jest pochodną imperatywu służebności wobec ogromnego kapitału i najpotężniejszego przemysłu zbrojeniowego oraz armii. Republikański kandydat i były prezydent Donald Trump, który głosi hasła antyestablishmentowe oraz rzekomo dąży do demontażu tych zależności, w rzeczywistości jest tylko odmianą tego samego zjawiska zawłaszczania państwa.

Spojrzenie na koncentrację władzy w rękach zdegenerowanych elit wymaga uwzględnienia mechanizmów rozchodzenia się racjonalności jednostkowej i grupowej w kręgach decyzyjnych państwa, czemu sporo uwagi poświęcił w pracy „Logika działania zbiorowego” (Warszawa 2012) jeden z wybitnych amerykańskich badaczy Mancur Olson.

Wystawianie zniedołężniałych kandydatów na najwyższe stanowiska w państwie kłóci się nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale także z wrażliwością etyczną. Przecież kampania wyborcza wymaga żelaznej kondycji ludzkiej. Zwykłe przemęczenie, a co dopiero choroba, spowodowane wyczerpującymi „maratonami” wiecowania, ograniczają nawet u młodych ludzi zdolności poznawcze i wytrzymałość fizyczną. A co dopiero, gdy w intensywnych debatach i kampaniach uczestniczą politycy wiekowi. Niewielu komentatorów zwraca uwagę na aspekt wprost nieludzkiego i instrumentalnego wykorzystywania takich osób, podtrzymywanych uporczywie i cynicznie w swojej determinacji

na rzecz zdobycia i utrzymania władzy przez kamaryle rodzinne i koterie polityczne.

Warto pamiętać, że jest to zjawisko nieraz spotykane w historii, ale mało kto wyciąga z tego wnioski. Jeden z takich przypadków dotyczył Andreasa Papandreu, który ożenił się w wieku 70 lat z kobietą o połowę od siebie młodszą. Gdy zachorował, nie chciał ustąpić z funkcji premiera Grecji, mimo silnych nacisków partyjnych kolegów. Jego młoda żona wspierała go w oporze, publicznie składając zapewnienia, że mąż działa jak należy. Zmarł na atak serca w 1996 roku, po trzech latach powtórnego premierowania, osiągając wiek 75 lat.

Być może uporczywe trzymanie się stanowisk przywódczych w przypadku Bidena i Trumpa jest rezultatem misjonarskich przekonań, że są oni wybranymi Opatrzności. Przecenianie swoich ról oraz wyolbrzymianie zasług zawsze było przyczyną nieszczęść. Wiara w swoją onipotencję i nieomyślność okazała się szkodliwa i zgubna dla amerykańskich elit politycznych. Ich pycha i buta, będąca rezultatem przekonania o trwałej depolaryzacji systemu międzynarodowego i osiągnięciu pozycji hegemonii, skutkowała błędnymi decyzjami o interwencjach zagranicznych, niszczeniu przeciwników politycznych i dewastacji ich państw, podważaniu reguł gry, ustanowionych po II wojnie światowej przy udziale samych Stanów Zjednoczonych, czy to w systemie ONZ, czy w układach regionalnych.

To dzięki kilku ostatnim amerykańskim prezydentom Ameryka uwierzyła w swoją wszechmoc, budując rozmaite koalicje ad hoc i skupiając wokół siebie słabsze państwa pod hasłem rzekomo oryginalnej strategii bandwagoning (koncentracji sił), w istocie będącej przykrywką dla daleko idącej penetracji i podporządkowania innych. Ambicje do panowania nad światem zaprowadziły Amerykę na manowce, a kryzys o charakterze społeczno-ekonomicznym prowadzi do skonfliktowania wewnętrznego.

Co ciekawe, takiej strategii „imperializacji” systemu

międzynarodowego, w państwach słabszych i ulegających Ameryce, jak choćby w Polsce, nikt spośród polityków nie poddaje krytycznej dekonstrukcji pod kątem utraty własnej podmiotowości i samodzielności na rzecz mocarstwa hegemonicznego. Pojedyncze głosy sprzeciwu wobec polityki uzależniania państwa od wpływów zewnętrznych są traktowane w kategoriach zdrady narodowej. A przecież kolejnym ekipom rządzącym nikt nie dał monopolu na prawdę i jedynie słuszne rozwiązania!

Popatrzmy w perspektywie wieloletniej, dokąd nas takie rządy zaprowadzą. Kto odpowie za konsekwencje niewłaściwych czynów? Politycy zmieniają się u władzy, a państwo polskie z negatywnymi skutkami ich decyzji i działań przecież musi trwać dalej, z wyrzutami sumienia pojedynczych osób za głupotę i błędy niekompetentnych włodarzy. A co gorsza, w strachu i poczuciu wstydu, że dumny naród o tysiącletniej historii tak łatwo dał się zniewolić garstce manipulatorów i uwierzył w jedyną drogę rozwoju w „atlantyckiej klatce”.

Poddawanie wszystkich dziedzin życia zbiorowego tzw. sekurytyzacji, czyli traktowanie ich w kontekście zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa, prowadzi do licznych błędów poznawczych, a zatem i fatalnych decyzji, choćby w sprawach presji logiki wojennej i gigantycznych zbrojeń kosztem innych dziedzin życia społecznego. Skazuje rządzących na przyjmowanie obcej kultury strategicznej, czyli podporządkowywanie własnych interesów obcym potęgom, nawet gdy fałszywie mienia się one największymi sojusznikami i protektorami.

Dodatek do Ameryki

Polska stała się ofiarą zniewolenia umysłów polityków o rodowodzie posolidarnościowym i pokomunistycznym, ze względu na przekonanie, iż w obliczu globalnych problemów nie jest w stanie poradzić sobie bez „parasola ochronnego” mocarstw zachodnich. W ten sposób znalazła się w pułapce trwałych

uzależnień strukturalnych. Demonstrując głębokie przywiązanie do USA, Polska postawiła tym samym na bezgraniczną obronę supremacji tego mocarstwa w systemie międzynarodowym. Wszystkie działania podporządkowano realizacji interesów Ameryki. Na dobre i na złe, nie szacując ryzyka, jakie niesie ten bezalternatywny wybór.

Wydostanie się z tej pułapki jest możliwe jedynie przez zmianę „struktury pola” swojego działania (Kenneth Waltz). Pozostając lojalnym uczestnikiem hierarchicznego systemu zachodniego, gdy „wahadło geopolityki” odbije w drugą stronę, Polska może jeszcze zdobyć się przy słabnącej hegemonii amerykańskiej na zbudowanie komplementarnej strategii eurazjatyckiej, minimalizującej ryzyko wplątania w wielką wojnę Zachodu ze Wschodem. Problem w tym, kto i kiedy podejmie się tego zadania w sytuacji dramatycznego deficytu ludzi realistycznie myślących i mających na względzie przede wszystkim własny interes narodowy.

Najgorszym skutkiem wzrostu potęgi Ameryki po „zimnej wojnie” stało się zanegowanie strategii bezpieczeństwa międzynarodowego, opartej na równoważeniu sił (balance of power). Od starożytności ukształtowała się praktyka korelowania sił i możliwości państw (Grecja), co w czasach nowożytnych (mniej więcej od XV wieku) zaczęto kojarzyć z logiką dynamiki geopolitycznej, uruchamiającej się w sytuacjach zagrożeń (Arnold J. Toynbee). Z czasem równoważenie sił przybrało charakter prawa samoregulacji systemowej, służącego zapobieganiu nadmiernemu wzrostowi potęgi jakiegokolwiek państwa, które mogłoby narzucać swoją wolę innym.

Mistrzem w stosowaniu tej strategii była Anglia, która od XVI wieku w wojnach między państwami kontynentu europejskiego udzielała pomocy stronie słabszej, stosując się do dewizy króla Henryka VIII: „zwyćięży ten, do którego przyłączę się” (cui adhereo – praeest). Prawidłowością historyczną stało się zatem zapobieganie przewadze geopolitycznej ze strony

silniejszego mocarstwa poprzez przeciwstawienie mu odpowiednio równej, a nawet większej siły, bądź tworzenie „lig obronnych”, złożonych z kilku państw.

Henry Kissinger, klasyk amerykańskiej dyplomacji i myśli politycznej uważał, że utrzymanie równowagi sił jest zadaniem, nad którym trzeba pracować permanentnie i działaniem, którego końca nie widać. Tymczasem w ostatnich dekadach jego życia Stany Zjednoczone zerwały z takim myśleniem. Ogromna przewaga w czynnikach potęgi pozwoliła Stanom Zjednoczonym na utrzymanie niewspółmiernie wysokich systemowych przewag nad innymi. Sprzyjała temu koniunktura międzynarodowa.

Każdego, kto obecnie próbuje odwoływać się do tego uświęconego roztropnością i rozumą mechanizmu, zaczęto osądzać jako wroga status quo. W ten sposób na pierwszej linii konfrontacji znalazły się Chiny i Rosja, jako mocarstwa rewizjonistyczne. Choć nie głoszą one doktryn agresywnych wobec USA i Zachodu, to jednak właśnie im przypisuje się najgorsze intencje. Zagrożają bowiem obiektywnie panowaniu Ameryki.

Ostatni Mohikanin

Ostatnim prezydentem Stanów Zjednoczonych, który wraz ze swoją administracją rozumiał logikę równoważenia sił był George H.W. Bush (senior). Wydaje się, że doskonale znał tragiczne ograniczenia polityki mocarstwowej, choćby ze względu na własne doświadczenia z czasów II wojny światowej. Potrafił zachować dystans i powściągliwość w odniesieniu do Chin po masakrze na placu Tienanmen w czerwcu 1989 roku, a także po rozpadzie bloku wschodniego. Nie ingerował bezpośrednio w państwach zrzucających komunizm, nie chcąc prowokować radzieckich „twardogłowych” do działań odwetowych. Podobnie po wojnie w Zatoce Perskiej na rzecz wyzwolenia Kuwejtu nie dążył do pokonania i upokorzenia Saddama Husajna. Jeszcze przed proklamowaniem niepodległości ukraińskiej przestrzegał w Kijowie przed „samobójczym nacjonalizmem”. Zdawał sobie bowiem

sprawę ze znaczenia Ukrainy w geopolityce rosyjskiej i z tego, że jeśli Zachód zechce objąć ją swoim „parasolem ochronnym”, niechybnie stanie się ona ofiarą konfliktu. Z dzisiejszej perspektywy trudno o mądrzejsze przepowiednie.

Kryzys przywództwa amerykańskiego w skali globalnej wyraża się obecnie w narastających tendencjach do delegitymizacji statusu hegemonu systemu międzynarodowego. Wiele państw azjatyckich, latynoamerykańskich i afrykańskich odrzuca iluzję o stabilnym i sprawiedliwym porządku międzynarodowym, dyktowanym przez scentralizowaną władzę, skupioną w rękach Ameryki i jej mocarstwowych sojuszników. Utrzymanie przywództwa USA w ręku stetryczałych polityków jedynie przyspieszy procesy degradacji ich roli, a w rezultacie doprowadzi do rewitalizacji strategii równoważenia sił w świecie wielobiegunowym.

Fałszywa sakralizacja amerykańskiego przywództwa wynika z przekonania o niezmienności mocarstwowo-imperialnego status quo. W kręgach politycznych i medialnych Waszyngtonu wmówiono sobie, że amerykańska hegemonia ma charakter łagodny i pokojowy, stąd nikomu na świecie nie przyjdzie do głowy w przewidywalnej perspektywie, aby podważać istniejący stan rzeczy. Tymczasem nic nie jest dane raz na zawsze. Dynamika systemu międzynarodowego pokazuje, że pojawiają się coraz liczniejsi zwolennicy przywrócenia mechanizmów równoważących.

Tragizm przywództwa...

Stanów Zjednoczonych polega na tym, że stoją one przed zadaniem rozwiązania trzech głębokich kryzysów, spowodowanych konfliktami na Ukrainie, w Strefie Gazy i wokół Tajwanu. Każdy z nich ma związek z koniecznością powrotu do multilateralnych rozwiązań, z udziałem największych protagonistów. Tymczasem kończy się skuteczność perswazyjno-dyplomatyczna USA, podobnie jak przewartościowaniu ulegają funkcje odstraszające tego mocarstwa przy użyciu siły. Przebieg konfliktu na Ukrainie pokazuje, że wsparcie militarne ze strony USA ma swoje liczne

ograniczenia, a determinacja Rosji w dążeniu do osiągnięcia swoich celów przerasta wolę zwycięstwa elit amerykańskich.

Stany Zjednoczone pozostają obecnie w fazie największego zagrożenia wewnętrznego. W obliczu rosnącego niezadowolenia społecznego żaden przywódca nie będzie w stanie skutecznie rozwiązywać problemy wewnętrzne poprzez wojny, które zwykle pozwalały jednoczyć obywateli z establishmentem. To daje nadzieję na zrewidowanie amerykańskiej strategii międzynarodowej.

Taki przypadek miał już kiedyś miejsce na tle wojny wietnamskiej w latach 1960. i 1970. Ówczesny establishment po raz pierwszy nie zdołał zbudować jedności narodowej i patriotycznego zapału na fundamencie wojny. Przez Amerykę przetoczyła się fala zmian kulturowych, jakiej państwo nigdy wcześniej nie zaznało. Nie było też poprzednio tak powszechnej utraty zaufania wobec tak licznych elementów systemu politycznego i gospodarczego.

Obecna kampania prezydencka w USA pokazuje, że wydarzenia polityczne mogą przynieść groźny zamęt i walkę, ale także inspirację. Amerykańscy obywatele są coraz bardziej świadomi, że pieniądze i kontrola informacji, stanowiące broń elit, mogą okazać się bezużyteczne w konfrontacji ze zdeterminowanym społeczeństwem. Choć nie sposób odgadnąć, jakie formy przyjmie nowy bunt i kiedy nastąpi, ale pewne jest, że na naszych oczach kończy się neoliberalne „wielkie złudzenie” – budząca się z iluzji hegemonizmu Ameryka potrzebuje świeżego przywództwa na rzecz wielkiej transformacji tak w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info